

często odczuwamy głód bibulasty — brak jej w tym lub owym miejscu, w tym lub owym czasie. Granica, dobrze urządzona, dokładnie funkcjonująca, jest tym ideałem, do którego się wiecznie dąży i który ustawicznie z rąk się wymyka, a staranie się o nią i jej urządzenie stanowi jedną z najpoważniejszych trosk partyjnych.

TRZECIA LINIA GRANICZNA

Trzecia linia graniczna jest jedną z oryginalnych, najzupełniej swoistych rosyjskich instytucji, wprawiających każdego Europejczyka w poniżające dla Rosji zdumienie; zdumienie, jak dla pomysłowości i bezwzględności rządu rosyjskiego, tak zarówno dla uległości ludzi, pozwalających czynić nad sobą najdziwaczniejsze w świecie eksperymenty. Opisywałem w poprzednim rozdziale urządzenie i działalność straży pogranicznej na pierwszych dwóch liniach. Druga linia, linia kordonów, odgranicza neutralny, że tak nazwę, pas ziemi, stanowiący właściwe pogranicze. Już nawet ta druga linia, przesiewająca raz jeszcze to, co przesiała linia pierwsza, stanowi pewną anomalię i świadczy o nieufności rządu względem ludności pogranicznej, tak zarówno i o sprawności tej pierwszej linii. Lecz w każdym razie ta druga linia ma jakieś logiczne i zrozumiałe usprawiedliwienie.

W istocie mieszkańcy pogranicza są pod niektórymi względami uprzywilejowani w porównaniu do reszty ludności państwa. Stosunki z zagranicą mają ułatwione w ogromnym stopniu. Mieszkańcy pogranicza mają prawo na tzw. półpaski lub przepustki.

Wydawane są one na osiem dni, a nawet na szereg tygodni bezpłatnie. Służą one jako legitymacja, nie na wielką, co prawda, przestrzeń, bo zaledwie na trzy mile w głąb obcego państwa. Lecz że najczęściej ani Austriacy, ani Prusacy nie obciążają siebie zbyt dużą dla nich kontrolą pod tym względem, można uważać półpaski jako istotne paszporty zagraniczne. Oprócz tego półpaski mają tę zaletę, że szczęśliwy posiadacz takiego dokumentu może przechodzić granicę tam i z powrotem niezliczoną ilość razy w ciągu trwania przepustki bez zmiany jej za każdym przejściem granicy.

Przeciwnie, paszporty zagraniczne dalszych okolic żądanych z wyliczonych zalet nie mają. Są drogie i służyć mogą

tylko na jednorazowy przejazd granicy tam i z powrotem. Mając takie przywileje, mieszkańcy pogranicza są związani z zagranicą znacznie ściślej, znacznie więcej mają z nią stosunków, niż ludzie, odsunięci geograficznie od niej. Więc wobec tego zrozumieć jeszcze można, że rząd, strzegąc tak pilnie swej granicy, mógł oddać pod specjalny niejako dozór tę właśnie uprzywilejowaną część swych poddanych, mógł skrępować takim lub innym ograniczeniem ich wolności, wzamian za przywileje, im nadane. Dla trzeciej linii żadnego usprawiedliwienia znaleźć nie można.

Na czym jednak polega ona i w jaki sposób spełnia swą rolę stróżów państwa od inwazji niepożądanych dla tych czy innych powodów produktów zagranicy?

Na trzeciej linii służbę carską pełnią, tak samo, jak na drugiej, wojskowi i cywilni zieloni. Specjalną ich funkcją jest śledzenie ruchu publiczności i towarów po drogach, kolejach i szosach w pasie ziemi, oddanym im pod dozór. Ten pas ziemi sięga głęboko wewnątrz państwa i u nas obejmuje całe prawie Królestwo Polskie i ogromną część Litwy. Wszystkie bez wyjątku stacje i przystanki kolejowe, wszystkie stacje poczty konnej na szosach w tym pasie są udekorowane zielonymi wójkami i cywilami.

Obowiązki ich są dosyć liczne i skomplikowane. Przyjeżdżający na stację są przez nich bacznie obserwowani; muszą oni intuicyjnie odgadnąć, czy w bagażu takiego pasażera nie ma czasem czegoś zakazanego, jakiejś kontrabandy. Naturalnie, na stacjach, bliższych do granicy państwowej, baczność ta jest zdwojona. Więcej nawet, bo posterunki te stanowią w tych punktach zazwyczaj nowy kordon, przetrzyskujący bez ceremonii bagaże tychże pasażerów bez względu na to, czy jadą od samej granicy, czy też z najbliższych do tej stacji lub przystanku okolic. Im dalej jest stacja od granicy, tym dozór ten jest słabszy, tym więcej się robi wyjątków wśród przejezdnych. Chociaż nawet o sto i więcej kilometrów od granicy, nigdy nie można być pewnym, czy «zielonemu» twarz lub pakunek pasażera nie wyda się podejrzanym i czy nie poprosi on lub brutalnie nie każe otworzyć pakunku dla rewizji.

I nie trzeba sądzić, że tylko linie kolejowe, biegnące wprost od granicy, są poddane takiemu dozorowi. Oto np. linia nadwiślańska, łącząca Wołyń i Ukrainę z Warszawą, nigdzie w swym biegu nie dotyka granicy, a jednak cała oddana jest pod opiekę zielonych. Oto linia, łącząca Warszawę z Wilnem, która najbliżej podchodzi do granicy pod Białymstokiem, gdzie granica jest oddalona 90 kilka kilometrów, cała jest ude-

korowana w zielony, celny kolor. Linie, idące wprost od granicy, są tylko pilniej strzeżone, lepiej obsadzone.

Drugim obowiązkiem zielonych jest włączenie się po wagonach pociągów w biegu i wybieranie ofiary dla przejrzenia u niej rzeczy. Zresztą, należy być sprawiedliwym: ten proceder praktykowanym jest jedynie w najbliższych granicy okolicach i w pociągach, idących wyraźnie od granicy. Taki zielony żołdak wchodzi do wagonu trzeciej klasy, rzuca okiem na każdego pasażera, na rzeczy, ustawione na półkach, zagląda pod ławki, szpera po kątach i od czasu do czasu pyta:

— Czyje to rzeczy?

— Moje — odzywa się ktoś z pasażerów.

— Proszę otworzyć! — brzmi dalszy rozkaz — i brutalna łapa żołdaka przerzuca po chwili zapakowane w walizce lub koszyku rzeczy.

W wagonach drugiej i pierwszej klasy robi to nieraz oficer straży pogranicznej albo wezwany przez zielonego żołnierza żandarm kolejowy.

Lecz najbardziej rażącym, najbardziej brutalnym jest ten dozór na stacjach kolejowych, w większych miastach — Częstochowie, Piotrkowie, Warszawie, Białymstoku, Grodnie, Wilnie i Kownie. Tutaj, oprócz zwyczajnych stupajek, zielonych żołnierzy, stoją i dozorują specjalni dozorczy celni. Tutaj przy ogromnym ruchu pasażerskim niepodobna rewidować wszystkich, niepodobna robić wyjątków, zrozumiałych dla otoczenia całego. I te nagle napaści na wybraną z mnóstwa przechodzących ofiarę, to szybkie przerzucanie wobec całej publiczności rzeczy podróznego, to czyhanie z kątów i skośne spojrzenia, rzucane na pakunki i podróжных, sprawiają dziwnie dzikie wrażenie, rumieńcem wstydu oblewają twarze rewidowanych, wywołują zdziwienie u wszystkich, nieprzygotowanych do tej napaści.

I wszystko to się robi na chybił trafił, bez żadnego pytania, czy kto jedzie od granicy, czy też z okolic, o setki mil nieraz od granic państwowych położonych. Wszystko to się dzieje o kilkanaście mil od granicy, gdzie olbrzymia większość ludzi, stosunków i interesów nic wspólnego z granicą nie ma. Więcej nawet, wszystko to się dzieje nie na podstawie jakiegoś ogólnie znanego prawa, lecz na mocy zwyczajnego rozkazu gabinetowego ministra. I jeszcze bardziej, bo wbrew prawu, które o takich rewizjach mówi, że muszą one być usprawiedliwione jakimś rzeczowym podejrzeniem co do wyrażnej osoby.

Tym czasem tutaj to podejrzenie powstaje w danej chwili

w głowie głupiego żołdaka, podejrzenie względem osoby, o której on nic nie wie, nigdy przed tym jej nie widział i o niej nie słyszał.

W tych warunkach można sobie wyobrazić podróż jakiegoś «pechowca» z Zagłębia Dąbrowskiego do Warszawy w sposób następujący.

Wyjeżdża on z Dąbrowy, miasteczka o osiem kilometrów od granicy. Przychodzi na stację i, już wiedząc zawczasu, że tu jest kordon celny, tak, jak gdyby przekraczał on granicę państwa, otwiera walizę, w której mu dobrotliwie, lecz pośpiesznie, rozrzuca rzeczy ręka zielonego żołdaka. No, nareszcie pociąg jest, formalność celna odbyta, jazda!

Pociąg ruszył, nasz «pechowiec» zadrzemał błogo, lecz ma pecha, twarz jego nie spodobała się kontrolującemu pociąg zielonemu.

— *Czji wieszczy?*¹⁾ — rozlega się brutalny okrzyk nad jego uchem.

— Gdzie? co? — zrywa się biedny pasażer. — Aha, moje, przecie nie ukradłem, a co?

— *Otworitie!*²⁾ — rozkazuje lakonicznie zielony.

Nie ma rady. Postawa i mina zielonego nie wróży nic dobrego, lecz pasażer nic w rzeczach nie ma, więc myśli — et, co tam szkodzi otworzyć, trochę fatygi, a lepiej z tymi draniami nie zadzierać, jeszcze do kozy wpakuja.

Znowu rzeczy, ledwie ułożone po dąbrowskiej rewizji, są rozrzucone w walizce.

Lecz nasz pasażer ma po drodze zatrzymać się dla interesów w Częstochowie i Piotrkowie.

— Częstochowa! dziesięć minut, bufet! — krzyczy konduktor pod oknem.

Nasz pasażer wysiada. Czasu ma mało, bo wieczór się zbliża, biegnie z walizką w rękę.

— *Ej, gaspadin, stojtie, wieszczy!*³⁾ — słyszy krzyk za sobą.

Lecz rzeczy ma w rękę, więc nie sądzi, by się to jego tyczyło. Idzie szybko dalej. Podejrzenie zielonego, naturalnie, wzrasta. Już przy wyjściu z dworca łapie on brutalnie pasażera za ramię.

— *Stoj! Czort!* — łaje — *otworitie! Nieboś, kontrabanda jest!*⁴⁾ — mówi zielony, robiąc złośliwą minę.

¹⁾ Czyje rzeczy?

²⁾ Otwórzcie.

³⁾ Hej, panie, zatrzymaj się, rzeczy!

⁴⁾ Stój! Diable!... otwórzcie! Pewnie kontrabanda jest.

Pasażer próbuje się bronić, ale groźna i stanowcza mina zielonego odbiera mu odwagę. Walizka otwarta, rzeczy przezucone raz jeszcze.

Wyjeżdża z Częstochowy. Inny zielony stoi mu na drodze.
— *Halt! Znowu wieszczy.*

To samo akurat spotyka go w Piotrkowie przy wjeździe i wyjeździe.

Nareszcie — Warszawa. Lecz i tu z kąta wysuwa się figura i bardzo grzecznie, jak na stolicę przystało, prosi zrozpaczonego «pechowca» o łaskawe pozwolenie na zajrzenie z obowiązku służby do rzeczy.

Piękna podróż! Nieprawdaż? Piękna i zupełnie możliwa do sprawdzenia i wypróbowania na własnej skórze.

To przeglądanie i rozrzucanie rzeczy wyjeżdżających i przyjeżdżających podróżnych nie daje się porównywać z mytem, pobieranym w wielu miastach — pomiędzy innymi i w Galicji. Tutaj celnicy miejscy pobierają opłatę od produktów spożywczych, które zresztą każdy ma prawo przywieźć z sobą. Określonym jest i produkt, obłożony mytem, i rozmiar opłaty. Każdy o tym wie, bo prawo jest wyraźne, więc, pomimo uciążliwości takich celnych granic wewnątrz państwa, nie ma w nich nic przypadkowego, nic samowolnego i nic hańbiącego, Zieloni rosyjscy o setkę i więcej kilometrów od granicy podejrzewają człowieka o zbrodnię kontrabandy i na podstawie podejrzenia o postępek, karany więzieniem, napastują mnóstwo ludzi, nie mogących mieć nic wspólnego z kontrabandą, chociażby dlatego, że są oddzieleni od granicy państwowej ogromną przestrzenią. Jest to to samo, gdyby np. w Galicji, w Nowym Sączu, Jaśle, Lwowie, Stryju i Stanisławowie, nie mówiąc już o pogranicznym Krakowie, zaczęto przetrząsać na chybił trafił przez dziesiątego rzeczy podróżnym w celu wynalezienia pruskiego cygara lub herbaty rosyjskiej, z groźbą osadzenia w więzieniu tego, u kogo ten zagraniczny produkt się znajdzie.

I czy sądzicie może, szanowni czytelnicy, że tak delikatny interes jest poruczony specjalistom wykwalifikowanym? Nie! w ogromnej większości takim psychologiem, mającym z pomiędzy setek ludzi, wysiadających z wagonu, wyczuć tych dwóch lub jednego, który przybywa z nadgranicznej miejscowości, jest najzwyczajniejszy chłop rosyjski, żołnierz, przywieziony z głębi Rosji, który w życiu swoim nigdy nie widział pruskiego cygara, lub sukna, czy płótna, który najczęściej czytać w swoim ojczystym języku nie umie, a którego tym bar-

dziej posądzać nie można o trafność obserwacji tłumu, złożonego z zupełnie nieznanymi i obcych mu ludzi.

Rozmawiałem raz pewnego z takim żołnierzem. Jechałem z Wilna do Warszawy i wypadkowo naprzeciw mnie usiadł młody żołnierz. Jego szeroka, z wydatnymi kośćcami policzkowymi twarz, jego małe, nieco skośne oczy, jego niekulturalne, z gruba wyciosane rysy twarzy zdradzały wyraźnie jego pochodzenie. Był to chłop, wyrwany nie więcej, jak rok temu, z dalekiej, głębokiej Rosji, z okolic, gdzie sąsiedztwo Baszkirów, Kalmuków lub innych mało kulturalnych ludów wycisnęło swe piętno nie tylko na twarzy mego towarzysza podróży, lecz i na zdolnościach do zrozumienia złożonego, pstrego pod względem narodowościowym środowiska, w którym się znalazł. Żołnierz nucił pod nosem jakąś wielkorosyjską piosnkę.

Zagadnąłem go pytaniem, skąd pochodzi, z jakiej gubernii.

— *Ufimskoj, barin* ¹⁾ — odpowiedział ze szczerym, szerokim uśmiechem.

Zacząłem go szczegółowo rozpytywać o rodzinę jego, stan materialny, urodzaje itp. rzeczy. Żołnierz coraz bardziej się rozczulał wspomnieniami o dalekiej zauralskiej wiosce. Wreszcie zapytałem go o służbę. Okazało się, że mój zielony wojak skończył swe godziny służbowe na stacji wileńskiej i jedzie na odpoczynek zasłużony do koszar, zbudowanych przy następnej stacji.

— Cóż ty robisz na stacji wileńskiej? — pytałem. — Pilnujesz czego, czy pracujesz tam?

— Jaka tam praca! — odparł pogardliwie żołnierz. — Stoję, jak głupi, nuda śmiertelna, oczy wybałuszysz na tłum, że spać się chce.

— A po cóż ciebie tam stawia? przecie nie po to, byś na ludzi patrzył.

Żołnierz śmiał się i robił do mnie filuterne oczy.

— Nie, nie patrzeć! Kontrabandę łowim, ot co. Kontrabandę, panie. My — straż pograniczna.

— Jaką kontrabandę? Skąd się ona tu weźmie, kiedy granica daleko?

— Widocznie jest — odparł z filozoficznym spokojem żołnierz — jest, kiedy nas «naczalstwo» ²⁾ stawi, żeby ją łapać.

— Jakżeż ty, chłopcze, poznasz, kto tę kontrabandę wiezie, czy wam może dają znać o tym, że kontrabanda idzie?

¹⁾ Ufańskiej, panie.

²⁾ Władza.

— Nie, my nic nie wiemy! Ot, stoisz, stoisz i z nudów do kogokolwiek przystąpisz — pokaż pan rzeczy. Do pana jakiego, naturalnie, wstyd i podejść, ale do Żyda, czy tam naszego brata, chłopą, to czemu nie. Ale «naczalstwu» tego mało. Oj! źle bywa, gdy nasz komendant na stację przyjdzie. Stanie sobie w kącie, a oczami tak świdruje, ciągle mruga do nas, by do kogo się zbliżyć, a zawsze czort wybierze jakiego pana, do którego nam, chłopom, straszno i zagadać. Po co to, nie wiem. Pewnie potrzeba, kiedy «naczalstwo» tak każe — uspakajał się po chwilowym gniewie na narażającego go widocznie na przykrość komendanta.

— A czy ty wiesz, co to jest kontrabanda? — pytałem.

— Co z zagranicy bez prawa wiozą, wiem! — odpowiedział z dumą żołnierz.

— A jak ty odróżniasz rzeczy zagraniczne od krajowych? — pytałem dalej.

— No! Jak bez plomby co jest, albo napis nierosyjski, albo dużo książek — płatał zakłopotany żołnierz, najwidoczniej w świecie nie zdający sobie sprawy z tak mądrych rzeczy.

— A czytać przynajmniej umiesz? — pytałem, rozśmieszony naiwnością syna pól i stepów zauralskich.

— Nie bardzo! Uczą nas, ale to trudna sprawa. U nas we wsi w naszej gubernii szkół mało. Od naszej wsi szkoła o dziesięć wiorst (wiorsta trochę więcej niż kilometr).

— Więc jakże? — pytałem. — Otworzę ci walizkę, spojrzysz i co?

— Jak co nowego i bez plomby, albo butelka bez napisu, książki, tak ja do «naczalstwa». Książki — tak żandarm, na to on uczony! Inne rzeczy — tak nasze «naczalstwo». To już ich sprawa. Mnie co! Kazano, ja patrzę — mówił, spostrzegając mój uśmiech.

— I złapałeś co kiedykolwiek? — pytałem niezrażony.

— Nie! rok już minął, jak służę, nic mi się nie trafiło. Ot tak, to się zarobić zdarza.

— Jak to, tak?

— A ot i dzisiaj. Stoję i patrzę — po pociągu zagranicznym, Żyd wlecze jakiś worek. Ciężki, bo aż się pochylił na bok. No, ja do niego: co tam masz, rozwiąż! Rozwiązuje. Szukam, jakaś butelka. Co to jest? — pytam. On ni to, ni sio. Ocet — mówi. Ja na niego. Ocet! ot «naczalstwo» zobaczy, jaki to ocet! Dał dwadzieścia kopiejek, puściłem go, blisko nikogo z «naczalstwa» nie było.

— Może i ocet był — dodał po chwili namysłu, — kto go wie. Napisu nie było.

Oto, z jakich ludzi składa się przeważnie instytucja rządowa, z istic moskiewską bezwzględnością gospodarującą na naszych kolejach i drogach.

Dozorcy celni, o których mówiłem, stojący na dworcach kolejowych w znaczniejszych miastach Polski i Litwy, są, naturalnie, nieco bardziej wykształceni i nie tak naiwni, jak mój zielony towarzysz podróży. Przeważnie są oni dobrani z szeregów teźże straży pogranicznej, z liczby podoficerów wysłużonych i bardziej sprytnych. Ci bez wątpienia są bardziej niebezpieczni i zarazem bardziej wykwalifikowani, jako detektywi kontrabandy. Chociaż i oni z istoty swej dzikiej służby kierować się muszą nie jakimś rzeczowym podejrzeniem, lecz zewnętrznymi, zawsze zwodniczymi cechami twarzy, ruchów i pakunków u przejezdnych. To teź rzecz można z zupełną pewnością, że na sto, a może i więcej zaczepk z ich strony zaledwie jedna okaże się skuteczną — taka lub inna kontrabanda będzie złapana. Ja przynajmniej z obserwacji własnej i innych tak wnoszę. Widziałem mnóstwo wypadków i przechodziłem sam parę razy przez łapy szanownych dozorców, lecz nigdy nie spostrzegłem, by ta brutalna i niczym, oprócz dzikiej samowoli, nieusprawiedliwiona napaść doprowadziła do przyłapania czegoś zakazanego. Słyszałem jednak o wypadkach, gdy w ten sposób właśnie łapano i kontrabandę zwyczajną, i bibułę.

Z powodu tej trzeciej linii miałem niegdyś rozmowę z niemieckim kupcem, rozmowę, która mi utkwiała w pamięci.

Jechałem ze Żmudzi przez Kowno do Wilna. W Kownie wsiadłem do nocnego pociągu pośpiesznego, nie mającego trzeciej klasy, a więc pociągu możnych i bogatych. Pasażerów było niewielu, los, jako sąsiada, dał mi niemieckiego kupca z Królewca, który po raz pierwszy przekroczył granicę posiadłości wschodniego despoty-cara. Ćmiąc ustawicznie cygaro, opowiadał mi o grzeczności komorowych urzędników rosyjskich, którzy przed paru godzinami przeglądali mu rzeczy na pogranicznej stacji — Wierzbołowo. Rozpytywał mię o Wilno, do któregośmy się zbliżali i do którego po drodze do Rygi miał wstąpić.

Nareszcie stanęliśmy w Wilnie coś koło 5 godziny rano, gdy zaledwie poczynało szarzeć na niebie. Oprócz nas — mnie i kupca z Królewca — wyszło z pociągu jeszcze dwóch pasażerów, za którymi, jak i za nami, tragarze nieśli nasze ręczne bagaże. Mego Niemca nie opuszczały wesołość i zachwył nad

porządkami w państwie cara. Przypuszczam, że wyjeżdżał do Rosji ze zwykłym u Europejczyków przekonaniem o barbarzyństwach moskiewskich. Był nieco w strachu, gdy się zetknął z tą carską Rosją, i nie mógł dotąd przetrwać przyjemnej niespodzianki, jaką mu przez swą grzeczność sprawili urzędnicy w Wierzbołowie. Nastąpiła jednak inna niespodzianka, mniej przyjemna, co prawda, lecz bardziej zgodna z istotą rządów carskich.

Zaledwieśmy, gawędząc, otworzyli drzwi stacyjne i weszli do korytarza, prowadzącego do restauracji kolejowej, gdy zagroziła nam drogę banda zielonych. Było ich sześciu tęgich drabów — dozorców celnych. Rozdrażnieni widocznym nocnym czuwaniem i chłodem porannym, rzucili się, jak głodne wilki, na nasze rzeczy.

— *Otworij! Otworij!*¹⁾ — brzmiały pośpiesznie rzucane rozkazy, a jeden z dozorców brutalnie schwyił niewielki neseserek podróżny, który był w ręku mego Niemca.

Napaść była tak gwałtowna, ruchy dozorców tak drażliwe, a oczy tak wymowne, że mój Niemiec wypuścił z ust cygaro i bezradny, ogłupiał kręcił się na miejscu.

— *Was ist das? Was wünschen Sie?*²⁾ — pytał raz po raz, zwracając się to do mnie, to do zielonych.

Tłumaczyłem nieszczęsnemu kupczykowi, że ci panowie poszukują u niego szwarcowanych rzeczy, a jeden z dozorców, widocznie nieco umiejący po niemiecku, potakiwał mi.

— *Ja, ja! kontrabandu iszczem*³⁾ — powtarzał na pół po niemiecku, na pół po rosyjsku.

Przetrząśnięto rzeczy wszystkich przyjezdnych, nic nie znaleziono i nareszcie wyszliśmy z rąk oprawców.

Mój Niemiec po tej operacji był zgnębiony i przybity. Pił zamyślony piwo w restauracji i widocznie nie mógł spokojnie myśleć o tym, że jego, poważnego kupca z Królewca, można było posądzać o tak zdrożne rzeczy, jak szwarcowanie towarów.

Zniżonym głosem — bo stracił swą pewność siebie — zaczął się tłumaczyć przede mną, pytając o wyjaśnienia. Przecie przyjechał z zagranicy, rzeczy oglądano mu na komorze, dano mu nawet jakiś znaczek, czemu więc go tu napastują? Może była jaka kradzież znaczna w pociągu — ale i w tym wypadku bez poważnych podejrzeń nie można przecie nara-

¹⁾ Otworzyć, otworzyć.

²⁾ Co jest? Czego chcecie?

³⁾ Kontrabandy szukamy.

zać człowieka spokojnego na przykrość i rewidować go, jak złodzieja.

Wyjaśniłem mu raz jeszcze cel rewizji i powiedziałem, że tak się u nas zawsze dzieje, że nie jest to ani specjalnie dla nas zrobiona niespodzianka, ani nawet specjalne względem nas podejrzenie.

Niemiec nie przestawał się dziwić, milczał, widocznie żuł myśl jakąś. Wreszcie z pewnym tryumfem uderzył mnie po kolanie.

— Tak! U nas by tego ludzie nie ścierpieli! Nie, u nas to byłoby niepodobieństwem!

Czułem, że się rumienię ze wstydu. Niemiec miał rację — jedynie niewola, jedynie codzienne przyzwyczajanie do znoszenia wszelkich kaprysów władzy może utrzymywać przy życiu takie wybryki i pomysły carskich urzędników, jak trzecia linia pograniczna.

Przypatrywałem się potem nieraz działalności trzeciej linii pogranicznej w różnych miejscach i na różnych pograniczach państwa cara. Nie istnieje ona wcale koło Petersburga, istnieje, ale działa bardzo słabo, jakby od niechcenia, na morskiej granicy, gdzie mieszkają Niemcy i Łotysze, również nieznaczną jest jej działalność na pograniczu podolskim i wołyńskim, gdzie rząd i Rosjanie czują się prawie zupełnie u siebie, w domu. Lecz w Polsce i na Litwie trzecia linia szaleje. Tu, w tym domu niewoli par excellence, nigdy rząd i jego poszczególne agenty nie liczą się ani z wygodą, ani z potrzebą mieszkańców. Żle to zarazem świadczy o odporności naszego społeczeństwa.

Jestem przekonany, że gdyby każde wkroczenie zielonego, wkroczenie, które, jak mówiłem, jest bezprawne nawet wobec praw rosyjskich, spotykało się z protestem, nawet zupełnie legalnym, z żądaniem protokołu oględzin rzeczy, ze skargą sądową w razie niezalezienia w rzeczach poszukiwanej kontrabandy — gdyby, jednym słowem, nasza publiczność była nieco odważniejszą, nieco więcej dbałą o swą godność, trzecia linia pograniczna istniećby długo nie mogła. Lecz tak nie jest. Każdy zaczepiony śpieszy otworzyć swe bagaże, boi się narazić na gniew najmarniejszego stupajki. Nie należy więc się dziwić, że wobec tego to barbarzyństwo istnieje.

Rzecz prosta, że trzecia linia pograniczna działa w kierunku najmniejszego oporu. Oszczędza dobrze ubraną publiczność, zaczepia średniaków, napastuje chłopów i biednych, a rzuca się, jak głodne zwierzę, na Żydów. Ci są główną jej ofiarą, głównym obiektem prześladowań.

Towarzysze nasi, chcąc się zorientować w sytuacji, badali nieraz kwestię: jakie właściwie cechy człowieka lub pakunku ściągają na się uwagę dozorców. Naturalnie więc przede wszystkim wynikające z powyższego. Lecz poza tym trudno coś określonego powiedzieć. Zdaje się jednak, że ciężkie pakunki i rzeczy, zawinięte w papier, szczególnie irytują zielonych. Lecz poza tym zwracają oni uwagę na wyraz twarzy, na poruszenia człowieka, gdyż te ostatnie mogą zdradzić przenoszących taką lub inną kontrabandę na sobie pod odzieniem. W ogóle zaś napaściami zielonych rządzi taka przypadkowość, że niepodobna je przewidzieć jedynym bodaj ogólnym prawem, mało zresztą mówiącym, jest: chcąc uniknąć zaczepki zielonych, trzeba się starać o możliwe niewyróżnianie się z otoczenia.

Zatrzymałem się tak długo na opisie trzeciej linii, bo stanowi ona przeszkodę dla bibuły, nie tylko dla przychodzącej z nad granicy, lecz i dla wędrującej z miejsca na miejsce, dla cyrkulacji jej w kraju. Bo wobec tego, że dozór zielonych obejmuje kraj cały, cały prawie teren działalności polskich rewolucjonistów, bibuła wszędzie, bez względu na to, czy idzie z granicy, czy też nawet odwrotnie, spotkać się może z napaścią i zaczepką zielonych. Dostyc sobie przedstawić, że na każdej stacji kolejowej w Polsce i Litwie każdy pakunek może być obejrzanym przez dozorcę celnego, a zrozumiałem się stanie, jakie stałe niebezpieczeństwo wisi nad głową towarzyszków, rozwożących bibułę, jak w każdym miejscu można się wyspać, tj. być aresztowanym. A zważywszy wszystko, com powiedział wyżej o działalności trzeciej linii, łatwo pojąć, że często prosty wypadek, zupełnie niemożliwa do przewidzenia okoliczność ściągnąć może uwagę i napaść zielonego.

Widzimy więc, że bibuła po przejściu przez pierwsze dwie sieci pograniczne nie jest jeszcze bezpieczną. Musi się prześlizgnąć przez trzecią. Zwykle nie używa się żadnych nadzwyczajnych środków dla uniknięcia niebezpieczeństwa. Bibułę pakuje się do walizki lub kosza, naturalnie, tak, by pakunek nie był zbyt ciężkim, a przy spotkaniach z zielonymi przechodzi się koło nich spokojnym krokiem, z podniesioną głową. Najczęściej to wystarcza. Zdarzały się jednak wypadki przeciwne.

Jeden ze znajomych towarzyszków opowiadał mi, jak go zatrzymano w N. N. na dworcu kolejowym, gdy przywiózł tam dwie ciężkie walizy bibuły.

— Wsiadłem już do dorożki — mówił mi, — gdy nagle podszedł do mnie dozorca celny i grzecznie poprosił mnie o otworenie walizek, musi bowiem obejrzeć moje rzeczy. Za-

pytałem go, z jakiej racji to robi. Mówiłem dość grzecznie, lecz nieco wyniosłym tonem i po rosyjsku. Zielony, który był w cywilnym ubraniu, oświadczył mi, że jest dozorcą celnym i ma podejrzenie, że w mych walizkach ukryta jest konfabanda.

Oburzyłem się na to ogromnie i krzyknąłem nań z góry, że to jest obraza, że nie ma on prawa mnie napastować, że oskarżę go przed jego władzą.

Zielony nie odczepiał się i coraz natarczywiej domagał się otworzenia walizek. Spostrzegłem, że żandarm kolejowy, który usłyszał widocznie hałas, zbliżał się do nas.

— Jestem urzędnikiem — zawołałem na zielonego, — i ty durniu, nie masz prawa mnie rewidować. Siadaj zaraz ze mną i jedź do urzędu celnego.

Dozorca posłusznie siadł obok mnie i ruszyliśmy w kierunku komory.

W drodze zacząłem straszyć dozorcę, że tej sprawy nie puszcze płazem. Przy rewizji nic się u mnie nie okaże i będę go skarżył. Wypadkowo przypomniałem sobie jedno nazwisko wyższego urzędnika celnego w Warszawie i wskazałem dozorczy na niego, jako swego znajomego. Dozorca, usłyszawszy z ust moich nazwisko swego naczelnika, struchlał i zaczął mnie przeproszać.

Udawałem jednak zagniewanego i dalej wymagałem, by jechał ze mną do komory. Dozorca coraz bardziej tracił rezon, coraz bardziej zdradzał chęć wycofania się z interesu. Przeproszał mnie coraz goręcej i skarżył się na ciężki obowiązek zaczepiania publiczności.

Wreszcie zapytałem go, czy jest żonaty. Okazało się, że ma żonę i dzieci. Ma się rozumieć, że skorzystałem z tej szczęśliwej okoliczności, by okazać wystraszonemu dozorczy swą wspaniałomyślność.

— No! — rzekłem, — niech tak będzie, nie chcę gubić twej rodziny. Ruszaj sobie!

Dozorca nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać. Zatrzymał dorożkę, wyskoczył z niej i pożegnał mię wojskowym ukłonem.

Odetchnąłem lżej. Widocznie dorożkarz moje westchnienie usłyszał. Odwrócił się do mnie z uśmiechem.

— Ależ udało się panu — rzekł do mnie, — przeląkł się, głupi!

Innym razem, jak mi opowiadano, wpadł w ręce zielonego opryszka Żyd, robotnik, którego nieopatrznie, wobec specjalnych względów zielonych dla Żydów, wysłano z bibułą do

sąsiedniego miasta. Nasz towarzysz bibułę zapakował do starej walizki bez zamka i obwiązał ją sznurami w bardzo gruntownie zaplątany sposób. To właśnie zbawiło go.

Przy wyjściu z wagonu na dworcu miejskim zatrzymał go zielony i kazał otworzyć walizkę. Towarzysz powoli zaczął rozplątywać węzły i węzélki na sznurach. Zielony — widocznie był to zwyczajny stupajka, typu, opisanego przeze mnie wyżej — znudzony tym długim rozwiązywaniem, obejrzał naszego towarzysza i widocznie z ubrania osądził, że nawet dwudziestu kopiejek zeń nie wydusi.

— *Nu, czort s tobój!* — zawołał, — *idi, żydok! Stupaj!*¹⁾

Niekiedy jednak oczka sieci pogranicznych z powodów rozmaitych zaciskają się gwałtownie. Zieloni stają się nerwowi, baczność się zwiększa. Wówczas uciekać się trzeba do najuciążliwszego i najbardziej kosztownego sposobu — do przewożenia bibuły na ludziach. Są najrozmaitsze sposoby opakowywania człowieka i technika transportowa wynalazła wiele środków do zwiększenia zdolności transportowej żywej tary dla bibuły. Najidealniejszą pod tym względem jest silna, dobrze zbudowana kobieta. Wyzyskawszy wszystkie skrytki damskiej garderoby, obłożywszy siebie najstaranniej bibułą, kobieta, gdy ma do tego odpowiednią siłę fizyczną, może unieść na sobie, bez zwracania na się uwagi, trudną do uwierzenia ilość bibuły. Opowiadano mi pod tym względem o fakcie następującym.

Partia musiała likwidować jedną ze swych granic, była bowiem obawa, że nastąpić może wyspa z powodu naprężonych w tym miejscu stosunków granicznych oraz wypadkowego podejrzenia, jakiemu uległ w oczach zielonych towarzysz, prowadzący granicę.

Niebezpieczeństwo wydało się tak groźnym, że z likwidacją śpieszono. A na składzie nad granicą leżało moc bibuły, której główną częścią było kilka setek książki Bebla «Kobieta»²⁾. Książka ta gruba, ważąca prawie funt i jako taka należy do najtrudniejszych dla techniki transportowej. Wobec wzmocnionego dozoru nie można było wywieźć bibuły walizkami, zwyczajną drogą. A że granicę likwidowano i już nie bardzo się liczone z wymaganiem konspiracji granicznej, by zbyt często nie zjawiać się na pograniczu, postanowiono raz po raz wysyłać towarzyszkę dla zabrania bibuły na siebie.

¹⁾ No, niech cię diabli wezmą, idź, Żydku, idź!

²⁾ Popularne dzieło Augusta Bebla «Kobieta i socjalizm» — jedno z najobszerniejszych wydawnictw agitacyjnych, rozpowszechnianych przez P. P. S. (przeszło 300 str. dużej 8-ki).

W tych wyprawach brało udział pięć towarzyszek, pomiędzy którymi wobec pośpiechu, jakiego wymagała sprawa, rozwinęło się współzawodnictwo. Kto więcej przyniesie? — oto było pytanie. Swego rodzaju rekord w tym oryginalnym sporcie rewolucyjnym został ustanowiony przez pewną towarzyszkę ¹⁾, która na sobie przywiozła siedmdziesiąt pięć egzemplarzy «Kobiety».

Siedmdziesiąt pięć! wynosi to na wagę prawie 2 pudy papieru, ułożonego w dodatku pod ubraniem, więc w sposób ogromnie kępujący i męczący. Nigdy nie miałem na sobie tyle bibuły; zdarzyło mi się jednak parę razy nieść jakies marne 15—20 funtów i muszę wyznać, że mię to wcale nie zachwyciło. Bibuła zewsząd mnie dusiła, gnioła, łaskotała; czułem, że muszę przybierać niezupełnie naturalne pozy, które mię męczyły ogromnie. A przecie od moich 20 funtów daleko do dwóch pudów — stanowi to cztery razy większą wagę i objętość.

Mąż owej dzielnej towarzyszki, który razem z nią odbył tę wyprawę, opowiadał mi, że będąc tak opakowaną, żona jego przejść musiała pieszo trochę więcej, niż kilometr, przetrzając się w wagonie kilka godzin i wreszcie jechać dorożką nie mniej, niż pół godziny.

— Gdyśmy wsiedli już do wagonu — mówił on, — zajęłam czym prędzej dwie króciutkie ławki, aby nikt nie siedział obok nas. Bałam się, by wypadkowe dotknięcie nie zdradziło bibuły, będącej pod ubraniem. Pociąg był nocny i gdy ruszył, moja żona, zmęczona podróżą, wrażeniami i spacerem kilometrowym z takim ciężarem na sobie, zadrzemała. Nagle usłyszałem cichy jej jęk.

— Co ci jest, — spytałem, nachylając się nad nią. — Boli cię co?

Odpowiedzi nie otrzymałem. Żona spała, oparta głową o ścianę wagonu, i od czasu do czasu jęczała z cicha. Byłem przekonany, że to skutek zmęczenia lub niewygodnego siedzenia przy takim niesłychanym wypchaniu siebie książkami. Zadrzemałem wreszcie i sam.

Przed samym celem podróży, gdy pociąg już zwalniał biegu, obudziła mię żona — była blada i lzy się jej kręciły w oczach. Widocznie coś jej mocno dolegało.

— Złamał mi się gorset — mówiła, zaciskając zęby od bólu, — brykle wjadają mi się w ciało. Wiesz, może nie potrafię przejść przez dworzec.

¹⁾ Żona Józefa Piłsudskiego, Maria z Koplewskich.

Lecz obawy były płonne. Opierając się o moje ramię i sy-
cząc nieledwie z bólu, żona moja doszła do dorożki. Gdyśmy
nareszcie znaleźli się w domu i żona się rozebrała, okazało
się, że ma pokrwawione i poszarpane bryklami boki. Ze dwa
tygodnie po tej wyprawie żona moja gorsetu nie mogła włożyć.

Jakim jest rekord męski pod tym względem, nie wiem
dokładnie. Słyszałem jednak o charakterystycznej przeróbce
znanej pieśni filareckiej, którą ułożono w kółku towarzyszków,
uprawiających con amore walkę z caratem na polach nad-
granicznych. Przytaczam ją tu:

Gdy pakowność cnota znana,
Pakowniejszy kto nad Jana?
Więc, panowie, jego zdrowie:
Wiwat tęgi Jan!

Naturalnie, jak to już powiedziałem, przemienianie to-
warzyszków i towarzyszek w walizki czy kosze nie może być
stałym zjawiskiem. Pociągałoby to za sobą zbyt dużo kosztów,
pochłaniałoby zbyt dużo sił, zużywałoby ludzi zbyt prędko. Od
czasu do czasu jest ono jednak konieczne. A wobec tego
z prawdziwym uznaniem podnieść należy zasługi dzielnych to-
warzyszek, które dla walki z caratem ofiarowują swe wątle
nieraz siły fizyczne dla pełnienia uciążliwej funkcji, zwanej
żartobliwie w żargonie rewolucyjnym dromaderowaniem.

Wspomniałem poprzednio, że rząd do niedawna nie
przedsięwierał żadnych specjalnych środków dla walki z wzra-
stającym z rokiem każdym dopływem bibuły. Walka z kon-
trabandą polityczną była tylko częścią walki z kontrabandą
ogólną, ze szwarcowaniem koronek, zegarków, spirytusu, her-
baty itd. Jak mnie zapewniano z kompetentnych źródeł, rząd
w wielkim stopniu dopiął swego: szwarcowanie towarów zwy-
kłych, nie politycznych, jakoby znacznie się zmniejszyło.

Jeśli tak jest w istocie, to zostało to osiągnięciem przez
stałe pogarszanie warunków życia ogromnej ilości ludzi, nic
wspólnego z kontrabandą nie mających. Z każdym rokiem sy-
pią się nowe ograniczenia, coraz bardziej kępujące ludność,
z każdym rokiem stosunki pod tym względem się pogarszają
i wyznać należy, coraz jest trudniej urządzić porządnie dzia-
łające biuro transportowe na granicy.

Dozór na samej granicy jest zwiększany z rokiem każ-
dym. Stałym jest również zjawiskiem ograniczanie liczby osób,
mających prawo do półpasków, przepustek. Nareszcie trzecia
linia graniczna jest instytucją względnie nową, stale w dodatku
wzmocnianą, jest siecią, której oczka coraz bardziej maleją.

Znający stosunki zapewniali mię, że w ciągu ostatnich lat die-
sięciu warunki transportowe tak się pogorszyły, że niepodobna
porównywać obecnych z dawnymi: co było łatwym wczoraj,
staje się trudnym dzisiaj.

Jedynym, lecz za to poważnym ułatwieniem jest wzmo-
żenie się ruchu rewolucyjnego, przeniknięcie ducha rewolucji,
ducha opozycji, do szerokich mas ludowych. Tego wpływu,
rozkładowego dla potęgi rządowej, nie uniknęła i ludność po-
graniczna. Jeśli więc trudności techniczne przy transportach
wzmagają się, to natomiast ułatwionym jest wynajdywanie lu-
dzi, chętnych do tego rodzaju pracy.

Niedawno pisma doniosły, że w Petersburgu obradowała
komisja w celu znalezienia środków dla zmniejszenia dopływu
bibuły do Rosji. Co tam uradzono przy udziale — jak pi-
sano — żandarmów z Królestwa, nie wiem. Jedyne, co doszło
do mnie, to wyasygnowanie środków dla żandarmerii w celu
utrzymywania agentów-szpiegów wśród ludności nadgranicz-
nej. Bez wątpienia, szpicle nad granicami mogą utrudnić zna-
cznie robotę, osobliwie, gdy będą sprytnie dobrani z pomię-
dzy ludności rzeczywiście miejscowej. Lecz niebezpieczeństwo
to nie wydaje mi się tak groźnym.

Główną podstawą dla działania rewolucjonistów na gra-
nicy państwa, jak to przedstawiałem, jest podmycie tej granicy
przez ludność pograniczną, zanik jej dla niej. Do wytworze-
nia mętnej wody na pograniczu w ogromnym stopniu przy-
czynniają się właśnie ci, co mają granicy pilnować, ci, co naj-
bardziej są względem całego otoczenia uprzywilejowani. Do
takich uprzywilejowanych będą, naturalnie, należeć i nowi dy-
gnitarze państwowi na granicy — owi agenci żandarmerii. Lecz
gdy dotychczasowi dygnitarze najczęściej są zupełnie obcy, są
przybyszami, którzy po pewnym tylko czasie stają się zależ-
nymi w mniejszym lub większym stopniu od otoczenia, to pro-
jektowani agenci żandarmów, pochodząc z ludności miejsco-
wej, tę krępującą zależność odczuwać będą znacznie silniej.
Więc własne ich grzechy graniczne — szwarcowanie na własny
użytek towarów zagranicznych — przyczynią się do zwiększe-
nia mętów i w wielu wypadkach zwiążą im ręce. Tym bardziej,
gdy się zważy, że szpieg, pomimo wielkiego jego znaczenia dla
rządu, tak jest pogardzanym przez ludzi, że szeregi ich mogą
być rekrutowane jedynie z pomiędzy najbardziej nisko pod
względem moralnym stojących ludzi.

Drugą podstawą dla kontrabandy rewolucyjnej w Polsce
jest silne, chociaż często nie bardzo świadome poczucie nie-
chęci wszystkich ludzi w stosunku do rządu. Niechęć ta, tak

ułatwiająca agitację rewolucyjną w Polsce, na pograniczu wzmaga się jeszcze bardziej przez solidarność fachową — solidarność szwarcowników, którymi, jak to wykazałem, są w pewnym stopniu wszyscy absolutnie mieszkańcy pogranicza. Czy więc rząd przez ustanowienie agentów żandarmskich potrafi już nie rozbić, lecz choćby poważnie zachwiać tą podwójną solidarnością? Co do mnie, znając kraj i stosunki pograniczne, innej odpowiedzi na to pytanie, jak negatywnej, daćbym nie mógł.

TAJNE DRUKARNIE

Mniejszą, lecz bodaj z każdym rokiem wzrastającą częścią bibuły, kursującej w Polsce, stanowi bibuła, w samym kraju wytworzona, wyprodukowana pod okiem wiecznie niepokojnej i trapiącej buntowników policji carskiej. Bibuła taka, w postaci ulotnego pisemka czy odezwy, albo też mniej więcej periodycznie się ukazującego pisma partyjnego, ma ogromne znaczenie dla każdej organizacji rewolucyjnej, chcącej szerszy wpływ na ludzi wywierać. Bibuła zagraniczna, wyprodukowana za żelaznym pierścieniem bagnetów, opasującym państwo cara, ma w wielu wypadkach tę niedogodność, że się opóźnia, że wobec kapryśnych warunków nadgranicznych nie daje się całkowicie opanować przez organizacje. Ten brak precyzji, brak, że tak powiem, elastyczności bibuły zagranicznej, rozpatrywanej, jako narzędzie rewolucyjne w rękach organizacji, zmuszał nieledwie każdą grupę rewolucyjną w państwie cara do prób tworzenia bibuły krajowej, produkowania jej na miejscu.

Najbardziej pierwotnym, studenckim, że go tak określe, sposobem jest hektograf. Urządzić go łatwo, zajmuje on bardzo mało miejsca, zniszczyć lub usunąć go z widoku nie trudno, do pracy z nim nie trzeba prawie żadnych kwalifikacji — jednym słowem, byłby on wspaniałym i niekłopotliwym sposobem, gdyby nie małe «ale» — wytwórczość hektografu jest bardzo niewielką, mogącą zadowolić najwyżej 30—40 osób, a produkty jego są nieczytelne. A jednak dzikie kagańce, nałożone przez rząd carski na wszystko, co ze świetnym wynalazkiem Gutenberga jest związane, tak są krępujące, że umożliwiają dotąd konkurencję marnego hektografu z drukiem.

Spotykałem wydawnictwa w Rosji, wydawnictwa, hektografowane w języku rosyjskim, ogromnej objętości, że wymie-